

FIGURELLA

KAPELUSZNICZKA KRÓLOWEJ
BONY



RENATA
CZARNECKA

RENATA CZARNECKA

FIORELLA

KAPELUSZNICZKA
KRÓLOWEJ BONY

BONA. KRÓLOWA
Z RODU SFORZÓW
TOM 6



Copyright © 2025 by Renata Czarnecka Copyright for this edition © 2025
by Axis Mundi REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

KOREKTA: Aleksandra Zok-Smoła

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska PROJEKT OKŁADKI: Anna
Slotorsz ZDJĘCIE AUTORKI: Wojciech Ciszewicz SKŁAD: Positive
Studio

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-361-4

EAN: 9788384123614

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-362-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Na zlecenie Woblink **woblink**

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk

Spis treści

[Okładka](#)

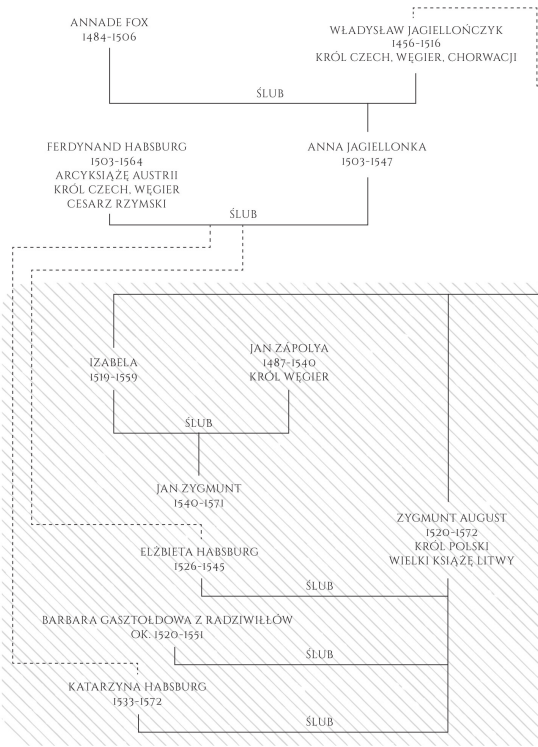
[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

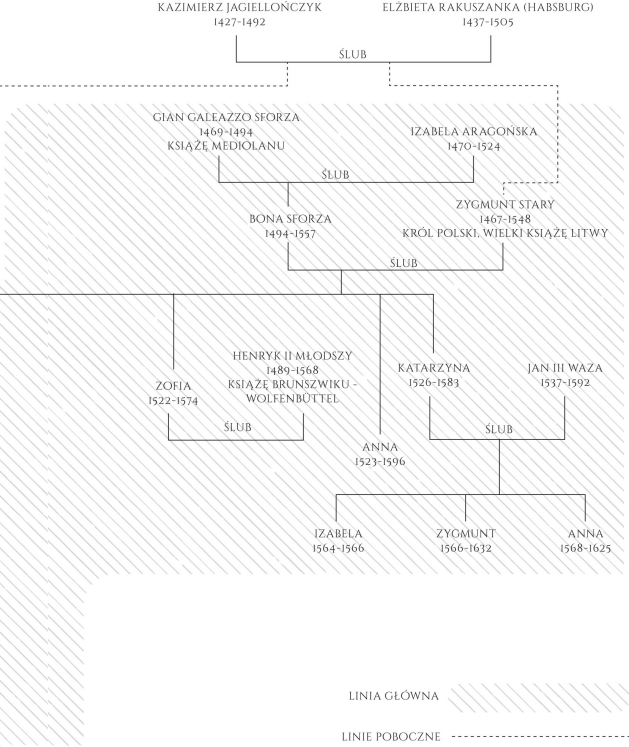
[ROZDZIAŁ 1. KRAKOWSKA KAPELUSZNICZKA](#)

[ROZDZIAŁ 2. JAŁMUŻNA ŻYDOWSKIEGO KUPCA](#)

TABLICA POTOMKÓW



SFORZÓW I JAGIELŁONÓW



ROZDZIAŁ 1

KRAKOWSKA KAPELUSZNICZKA

Śnieżyca, jaka rozpętała się krótko przed zmierzchem, nie ustawała i teraz, gdy zmrok zakleszczył Kraków. Płatki śniegu przylepiały się do twarzy Fiorelli Carpaccio i spływały wielkimi kroplami po jej czerwonych policzkach. Włoszka przed momentem wyszła z kamienicy bogatego kupca, Lucchiniego. Dom Włocha znajdował się przy Rynku i sąsiadował z narożną kamienicą u wylotu Sławkowskiej, gdzie mieściła się gospoda, zwana przez krakowian zajazdem Pod Jeleniem. Fiorella zaniósła do domu kupca kapelusz szyty na zamówienie, a teraz wracała na Sławkowską, gdzie wynajmowała mieszkanie w kamienicy burmistrza Czeczotki. Jako że pora była późna, to i strach zaglądał w oczy, kobieta szła z duszą na ramieniu i co rusz się rozglądała. Kraków o tej porze nie był spokojnym miastem, łatwo było dostać po głowie lub stracić sakiewkę. Fiorella z ulgą dotarła do kamienicy i chwyciła za klamkę, gdy nagle zatrzymał ją głos:

– Fiorello!

Drgnęła i się odwróciła. Z mroku wyłonił się olbrzymiej postury mężczyzna.

– Przestraszyłeś mnie, Rochu! – skarciła go.

– Przychodzę po kapelusz dla burmistrzowej – powiedział.

– Nie mogła przyjść sama? Od kiedy to jesteś na jej posyłki? – odparła z ironią i zaraz dodała: – Na miejscu bym poprawiła w razie potrzeby.

– Nie mogła przyjść.

– A to dlaczego? – spytała dociekliwie.

– Źle z nią. Tłokiński już chciał dzwonić na jej śmierć – odparł, ścisząc głos, i rozglądał się, czy aby ktoś ich nie słyszy. Włoszka przyjrzała się łysemu siłaczowi o wielkich odstających uszach i poczerńniętych zębach, które widoczne były zawsze, gdy mówił albo się uśmiechał. Był tak szpetny, że matki straszyły nim dzieci.

– To po co jej kapelusz? – zdziwiła się.

Fiorella słyszała o tym, zresztą cały Kraków już szeptał, że z burmistrzową nie jest dobrze i że burmistrz Krakowa, Erazm Czeczotka, zwany Tłokińskim, odkąd kupił sobie szlachectwo, najchętniej widziałby połowicę w grobie, chciał bowiem poślubić piękną signorinę Montelupi, córkę najbogatszego miejscowego kupca, sprowadzającego z południa Europy najwspanialsze atłasy, jedwabie przetykane srebrem i brokaty. Signor Montelupi dawniej był również bankierem króla Zygmunta Augusta i cieszył się powszechnym szacunkiem. Małżonka burmistrza, wdowa po rajcy miejskim, swego czasu miała wielu adoratorów. Jednak to nie uroda wabiła mężczyzn, a ładny majątek, jaki zostawił jej mąż. Była to bowiem suma tysiąca złotych, do tego dochodziła kamienica w dogodnym miejscu, bowiem na Sławkowskiej. I choć pani Barbara była starsza od Czeczotki, ten postanowił, że pojmie ją za żonę i w ten sposób przejmie niemały majątek. Chodził do niej wytrwale i zapewniał o wielkiej miłości, w co ona nie bardzo wierzyła, bowiem było wielu takich, co mówili podobnie. Jednak gdy pewnego dnia obrano go burmistrzem Krakowa, wdowa spojrzała na niego łaskawym okiem.

Fiorella zakołatała do drzwi. Otworzył starszy mężczyzna. Był to Michał, który pomagał Włoszce przy szyciu kapeluszy, odkąd umarł jej mąż. Potem, gdy wyjechała do Warszawy, on został w Krakowie, a kiedy

kapeluszniczka wróciła, wtedy i on się zjawił, ciekaw, czy może liczyć na pracę w jej niewielkim warsztacie. Włoszka ucieszyła się, bo ceniła jego pracowitość i to, że znał się na robocie. Był bez dachu nad głową, więc pozwoliła mu zamieszkać kątem u siebie. Starość powykręcała mu palce, nie nadawał się do krojenia tkanin, ale Fiorella uznała, że przecież może wykonywać inne prace, jak noszenie wody ze studni czy palenie w piecu i pilnowanie domostwa.

Gospodyni kazała zawołać jedną z dziewcząt, Małgorzatę, która u niej mieszkała.

– Nie ma jej – powiedział Michał.

Fiorella zerknęła do przestronnego pokoju. Na stole leżały nici i nożyce, adamaszkowa tkanina spływała aż na podłogę, a wszystko było w takim nieładzie, jakby ktoś w pośpiechu porzucił zajęcie.

– Kapelusz jeszcze niegotowy, ale jutro z rana wielmożna pani burmistrzowa będzie go miała – zapewniła Włoszka.

Roch odszedł nierad, że wraca z niczym, tymczasem pani Carpaccio podeszła do okna, spojrzała na ulicę i powiedziała z jakimś złym przeczuciem:

– Jestem pewna, że włączy się teraz z tym swoim żakiem.

W istocie, po chwili dostrzegła dziewczynę i jakiegoś mężczyznę, który zniknął w mrokach nocy, dziewczyna zaś weszła do kamienicy i po chwili gospodyni ujrzała ją w progu.

– Gdzie byłaś? – spytała oschle i nie czekając na wyjaśnienia, rzuciła z gniewem: – Włóczysz się, zamiast szyć kapelusz! Ten twój żak zawrócił ci w głowie!

– On mnie kocha! – rzekła dziewczyna.

Włoszka spojrzała na nią z politowaniem i odparła:

– Mówi to każdej dziewczce, którą chce mieć za darmo! Kapelusz dla burmistrzowej ma być gotów do świtu! Zaniesiesz go, skoro dzień wstanie.

Małgorzata usiadła do stołu. Palce z wielką wprawą przetykały nić przez adamaszek, tymczasem pani Carpaccio otworzyła drzwi do przyległego pokoju. Łóżko, stół, dwa krzesła, komoda i skrzynia stanowiły wyposażenie jej małej izby. Z obrazu spoglądała Matka Boska; modlitewnik i różaniec zajmowały na stoliku ważne miejsce. Gospodyni zapaliła świecę i wyjąwszy szpilki z włosów, rozplotła długie pasma. Były jasne, tylko gdzieniegdzie przeblyskiwały srebrne nitki. Niektórzy dziwili się, że mimo podeszłego wieku pani Carpaccio zachowała bujne, ledwo tknięte siwizną włosy. Ona zaś zawdzięczała to naturze, jednako wspomaganej naparem z ziół, w którym zwykła była płukać włosy. Wiedziano, że dawniej, bywając na dworze królowej Bony, posiadała niejedną tajemnicę piękna, mówiono bowiem o Bonie *bellissima*. Przychodziły do Fiorelli krakowskie patrycjuszki oraz żony magnatów, aby szyc sobie u niej kapelusze, a przy okazji dowiedzieć się, co zrobić, by zdobyć miłość mężczyzny, albo przeciwnie, obrzydzić go sobie. Przychodziły także brzemiennie kobiety z prośbą o pomoc przy porodzie. Pani Carpaccio uchodziła więc za niewiastę wszechstronną, której mądrość i doświadczenie ceniono wysoko, a za pomoc pobierała stosowną zapłatę. Jednak nieraz dziwiono się, gdy widziano u niej młode dziewczęta wielkiej urody. Chodziły pogłoski o tym, że Włoszka stręczy dziewczki najznacniejszym personom miasta: dworzanom, kupcom, urzędnikom, a nawet duchownym. Mówiono, że za piękną kobietę gotowa jest zapłacić sporą sumę. Nikt jednak nie ośmielił się oskarżyć jej o cokolwiek, gdyż wiedziano, że żyje w dobrej komitywie z samym burmistrzem i że nieraz posyła mu do łaźni na ulicę św. Anny swoje dziewczęta, by tam usługiwały.

Pani Carpaccio rozpięła guziki sukni i obnażyła ramiona, po chwili była w samej koszuli. Przyjrzała się swemu odbiciu i westchnęła ciężko. Pamiętała czasy, kiedy uchodziła za ładną kobietę, miała wielu adoratorów i potrafiła to wykorzystać dla własnych celów. Lecz czasy młodości minęły, nadciągała starość, z każdym rokiem kradnąc urodę. Gospodyni zmieniła koszulę, głowę nakryła czepkiem i poszła rzucić okiem na Małgorzatę.

Dziewczyna pracowała pilnie. Jej ciemne włosy spływały na ramiona, oczy były niebieskie jak niebo, usta może zbyt wąskie, za to sylwetka kształtna, a piersi pełne. Małgorzata stała się jej klejnotem, który przygarnęła pewnej zimy, kiedy dziewczyna była jeszcze dzieckiem. Fiorella mieszkała wtedy w Warszawie. Żal jej było bosego, wychudzonego dziecka włączącego się w mroźny dzień po ulicach. Zabrała ją ze sobą. Potem dopytywała, czy ktoś nie zgubił dziecka, i czekała z nadzieją, że lada dzień zjawi się matka, by zabrać dziewczynkę. Nie zjawiała się. Kiedy Fiorella wracała do Krakowa, zabrała małą ze sobą. Nie miała sumienia zostawić dziecka w przytułku dla sierot. Zapewne posłano by ją do najgorszych prac, a potem, kiedy by dorosła, wygnano by ją na ulicę. Fiorella nieraz widziała kobiety sprzedające się w lichych szynkach i w obskurnych ciemnych norach.

Gospodyni uklękła przed obrazem Najświętszej Marii Panny i pogrążyła się w modlitwie:

– Zdrowaś Mario, łaski pełna...

Donośne pukanie do drzwi rozproszyło modlitwę. *Kto to może być?* przemknęło jej przez głowę. Był już późny wieczór i Fiorella nikogo się nie spodziewała. Prędko zarzuciła chustę na ramiona, wzięła świecę i poszła otworzyć. Natknąwszy się na Małgorzatę, kazała jej pójść na górę i tam skończyć robotę. Potem uchyliła drzwi i w szparze dostrzegła barczystego mężczyznę w szerokim kapturze, mocno naciągniętym na czoło.

– Czego chcesz? – spytała, rozpoznawszy w przybyszu miejscowego kata, po czym szerzej rozwarła drzwi. Z dworu powiało zimnem i dmuchnęło śniegiem, aż Włoszka się wzdrygnęła. W takich chwilach jak ta, gdy na zewnątrz szalała zamieć, Fiorella najchętniej uciekłaby z Polski do gorącej Italii. Tutaj brakowało jej tamtejszego nieba i słońca, które przez dziesięć miesięcy karmiło ją ciepłymi promieniami. Czuła jego siłę. To dzięki niej tam, w jej rodzinnych stronach, rośliny zakwitały już w lutym i cieszyły oczy do zimy. W Polsce w chłodnych porach roku brakowało jej ziół, kwiatów i zieleni. Na przedwiośniu, gdy krokusy ledwo wybiły spod śniegu, a potem łąki zażółciły się od mleczy, szła z wiklinowym koszem, by go napełnić kwieciami. Gdy ją widziano, zmierzającą na podkrakowskie łąki, mówiono: „Idzie ta, która kocha kwiaty. Fiorella”.

– Mam interes, Fiorello – wybełkotał.

– Nie może poczekać do jutra? Już prawie noc. Przyjdź za dnia – odparła i dostrzegła, jak nagle zmarkotniał.

To właśnie pani Carpaccio kat zawdzięczał życie, choć w chwilach słabości i goryczy przeklinał ową noc, w którą znalazła go porzuconego pod kościołem dominikanów. Tamtej nocy, wiele lat temu, zaintrygował ją płacz dziecka. Najpierw pomyślała, że to koty nawołują się do godów, był bowiem marzec, a wiosnę czuć było w powietrzu. Poszła dalej, więcej nie zwracając sobie tym głowy. Jednak kiedy usłyszała donośne warczenie psów, ich szczekanie, a potem ludzki płacz, poszła w tamtym kierunku. Już z oddali zauważyła, że psy o coś walczą zajadłe. Do dziś nie wie, skąd tamtej nocy miała tyle odwagi, by rozpędzić bestie. Nie myślała o tym. Przy murze kościoła dostrzegła dziecko zawinięte w lnianą chustę. Słyszała jego kwilenie, a gdy podeszła bliżej, dostrzegła poszarpaną, krwawiącą twarzyczkę. Przytuliła do siebie dziecko i zaniósła je do szpitala duchaków. Tam zostawiła je, przekonana, że jakaś ładacznica, chcąc pozbyć się

bękarta, porzuciła go. Jednak kolejnego dnia wróciła do duchaków, gdyż chciała wiedzieć, czy przeżyło. Chłopiec był silny i Fiorelli zdawało się, że wbrew wszystkim zaparł się, by żyć. Uznała to za cud i podarowała opiekunowi chłopca parę skudów, by troszczył się o niego. Odtąd zaglądała tam od czasu do czasu, a potem, gdy dziecko podrosło, posłała je do szkoły parafialnej przy kościele św. Floriana. On zaś nazywał ją matką. Nie chciała, by tak do niej mówił. Nigdy nie miała dzieci, choć była mężatką. Gdy królowa Bona zaproponowała jej, by pojechała wraz z nią do Warszawy, Fiorella się zawahała. W końcu uznała, że przy swojej pani nie zginie, gdy tymczasem tutaj, w Krakowie, nie wiadomo, co ją czeka. Kiedy kapeluszniczka opuszczała Kraków, a było to jakieś dwadzieścia lat temu, Hubert zrozumiał, że traci matkę na zawsze. Wtedy obudziła się w nim jakaś żalność. Wiedząc, że najpewniej jest synem ladacznicy i że nie czeka go w życiu nic dobrego, postanowił zostać katem. Uczył się długo i pilnie katowskiego fachu, zaczynając jako oprawca. Potem, gdy kat umarł, zajął jego miejsce. Mistrz świętej sprawiedliwości – jak zwano kata – wieszał skazańców i ścinał głowy, do tego sprawował pieczę nad domami uciech, grzebał ciała i łapał włóczące się po mieście psy. Kiedy szedł, z pogardą i obrzydzeniem odwracano od niego głowy, ciągnął się za nim odór fekaliiów, którym przesiąkł, oczyszczając fosy z nieczystości. Miał już trzydzieści lat i jak dotąd się nie ożenił, choć wiódł życie bardzo dostatnie. Za dobrą służbę pobierał z kasy miasta godziwą zapłatę. Do tego robił niezły interes na trupach, o które nikt z rodziny się nie upominał. Ludzkie organy, a nawet całe zwłoki były przedmiotem pożądania ze strony szarlatanów, dokszałcających się medyków i kobiet wierzących w wielką moc męskich członków. „Wszystko można sprzedać i wszystko kupić” – zwykł mówić, robiąc interesy. Zyskiem jednak musiał dzielić się z naczelnikiem straży miejskiej, Harasimowiczem, którego nieraz nazywał parszywą pijawką.

– Nie, Fiorello, nie może – rzekł niewyraźnie.

– To wchodź szybko, bo ziąb straszny – rzekła i wpuściła go do środka.

Gdy zsunął z głowy kaptur, światło ukazało jego oszpeconą twarz. Od brody, przez wargi aż po policzek wryły się głębokie blizny. Mowa jego zdawała się bełkotem.

– No więc co cię sprowadza? – ponagliła go niecierpliwie.

– Jest u mnie pewna kobieta – powiedział.

Oczy gospodyni błysnęły ciekawością. Wskazała gościowi miejsce przy stole, a gdy usiadł, rzekła:

– Czyżbyś znalazł sobie żonę?

– Nie.

– A więc któż to taki? – dociekała.

– Nie wiem. Znalazłem ją na cmentarzu. Ktoś chciał ją żywcem pogrzebać. Ma ranę głowy, ale żyje.

Było to tego śnieżnego wieczoru. Hubert z hyclami zawiózł dwie trumny na cmentarz położony za murami miasta, przy kościele św. Gertrudy, przez tutejszych zwany cmentarzem złoczyńców. Chowano tam skazańców, żebraków i ladacznice. Było to miejsce odludne i nikt, kto był przy zdrowych zmysłach, nie zapuszczał się tutaj po zmroku. Mówiono, że cmentarz jest nawiedzony, a dusze skazańców błakają się, pokutując za grzechy. Pośród wycia wiatru słyszać było ujadanie wygłodniałych psów i ich groźne poszczekiwanie, kiedy walczyły o łup, wygrzebując z ziemi ludzkie członki. Hycle opuścili trumny do grobów wykopanych stosowniejszą porą, kiedy ziemia nie była jeszcze zmarznięta. Kat co raz ich poganiał. Zdarzało się bowiem, że kiedy grzebał umarłych, słyszał jakieś głosy – jęki, prośby i szepty cicho wypowiedane wprost do ucha, jakby ktoś stał tuż przy nim. To znowu słyszał wołania, żeby się pospieszył, bo trup ożyje, a gdy się odwracał, wszystko cichło. Coraz częściej nachodziły go

podejrzenia, że traci zmysły. Te ponure myśli nagle rozproszył żalosny ton starej żebraczki, o której mówiono, że postradała rozum. Nazywano ją Wariatką, można było ją spotkać pod którymś z krakowskich kościołów. To ona wskazała mu grób, w którym leżało ciało. Wariatka zapewniła, że nieznajoma jest martwa, a on przyjął to za pewnik, gdyż kobieta nie dawała znaku życia, a jemu nie chciało się sprawdzać, jak najszybciej bowiem chciał skończyć robotę. Pobiegł po łopatę, aby zasypać ciało. Wtedy trup się poruszył. Kat odskoczył jak oparzony, ale zaraz skoczył w dół i wyciągnąwszy kobietę, położył ją na śniegu. Wyjął z trumny ciało, które przywiózł, i wrzucił do grobu, potem kazał hycłowi je zakopać. Sam zaś włożył nieznajomą do pustej trumny i wywiózł z cmentarza, kierując się w stronę swojej baszty. W drodze natknął się na hutmana ze strażnikami. Ujrzawszy trumnę, chcieli wiedzieć, kto w niej jest. Kiedy kat odparł, że zmierza na cmentarz, a w trumnie jest dziwka, kazali mu jechać.

– Najpewniej to ładacznicą – orzekła Fiorella, przerywając rozmyślenia Huberta. – Poszła z kimś, a może z kilkoma, potem upomniała się o zapłatę. Nie chcieli płacić, to dali jej po głowie. Potem wywlekli za mury miasta i wrzucili do grobu... Chociaż ładna? – spytała nieoczekiwanie.

Gdy skinął głową, rzekła:

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Przyjmij ją do siebie na jakiś czas. Może ci pomóc przy szyciu kapeluszy.

– Nie potrzebuję nikogo do szycia – zachnęła się.

– Ona nie może u mnie zostać.

– To ją wyrzucić, Hubercie – poradziła mu, a gdy milczał, z trudem przełykając odmowę, dodała: – Litujesz się nad jedną dziewczką, podczas gdy każdego dnia gwałcą uliczne dziewczęta, podrywają im gardła i topią w Wiśle.

– Fiorello... – jęknął.

– Już dobrze! Przyprowadź ją – zgodziła się w końcu, chociaż była na siebie zła, że nie potrafi odmówić katu.

Hubert podniósł się zza stołu i ucałował dłoń gospodyni. Fiorella obruszyła się na ten gest wdzięczności i wyrwała rękę.

– Przyślij mi sznur z szubienicy, podobno wczoraj kogoś wieszałeś? – rzekła.

– Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz – zapewnił i wyszedł. Ona zaś położyła się spać.

O świtaniu kapelusz dla burmistrzowej był gotowy, więc Włoszka posłała Małgorzatę na ulicę św. Anny, a potem zakrzętała się po domu. Nie trwało to jednak długo, ponieważ spieszyła się na Rynek. Był dzień targowy. Kupcy właśnie rozkładali towary w bogatych kramach. Nazjeżdżało się mnóstwo drobnych handlarzy i bab z podkrakowskich wsi. Na Rynku mieściła się również topnia złota i srebra, do tego kramy stawiane naprędce, a rozbierane wraz z gasnącym słońcem. Wszystko to tworzyło kręte i wąskie uliczki – miejsce idealne dla złodziei. Raz po raz słychać było baby nawołujące do kupna obwarzanków i innych specjałów, których zapach wzmagął apetyt i powodował burczenie w brzuchu. Tuż za kościołem Mariackim rozciągał się cmentarz otoczony murem, przy którym biedota stawiała swoje rudery. Było to miejsce brudne i obskurne, a kto znalazł się w pobliżu owych zabudowań, musiał mocno pilnować sakiewki, a jeszcze bardziej własnego życia. Roilo się tu bowiem od żebraków, w istocie cwanych złodziejasków, posyłanych w tłum przez swoich hersztów dla rabowania naiwnych, tych zaś nigdy nie brakowało, szczególnie pośród wiejskich bab, rozgadanych, swarzących się o każdy drobiazg i skaczących sobie do gardeł. Dopiero pojawienie się pachółków miejskich sprawiało, że kobiety się uspokajały. Kupcy jednym okiem pilnowali towaru, drugim zaś

śledzili utarczki. Co bardziej harde baby chłostano u pręgierza ku uciechu
pospólstwa.

Fiorella wstąpiła do kościoła, jak miała w zwyczaju to robić zawsze,
ilekroć była w pobliżu. Zmówiwszy pacierz, nabrała przeczucia, że
Opatrzność nad nią czuwa. Gdy wyszła ze świątyni, natknęła się na małą
żebraczkę, która klękła przed nią i wyciągnęła rękę. Włoszka wcisnęła jej
w dłoń monetę, a wówczas chmara rąk wyciągnęła się w jej kierunku, na to
pani Carpaccio, opędzając się przed natrętami, rzuciła do obdarowanej:

– Przyjdź po zmierzchu, dostaniesz jeść.

Fiorella, oddaliwszy się parę kroków, obejrzała się na karlicę. Ilekroć
dawała jej jałmużnę, myślała, jak przewrotny bywa los. Oto Lukrecja,
dawna karlica królowej Barbary. Kiedyś siadywała u boku Radziwiłłówny,
jadła ze złotych półmisek, piła najlepsze wino z kryształowych pucharów
i chodziła w miękkich satynach, a dziś żebrze pod kościołem. Czasami,
zwłaszcza kiedy mróz mocno doskwierał, Fiorella pozwalała jej spać u
siebie kątem. Lukrecja odwdzięczała się wierną służbą, a Włoszka chętnie
korzystała z jej usług, gdyż ta mała osóбка potrafiła wszędzie się wślizgnąć
i znała każdy zakamarek miasta.

Włoszka skierowała się do Sukiennic. Tłum gęstniał tam z każdą chwilą
i nieraz trzeba było rozpychać się łokciami. Naraz przy jednym z kramów
dostrzegła rosnącego mężczyznę o nadętych policzkach, czerwonych od
mrozu, i dociekliwym spojrzeniu chmurnych oczu. Był to burmistrz
Tłokiński, przez wrogów zwany z dawna po plebejsku – Czeczotka, ubrany
w aksamitny płaszcz podbity futrem i czapkę przybraną pawim piórem.
Tłokiński przekładał tkaniny palcami ozdobionymi w wielkie pierścienie,
gdy tymczasem Żyd nadskakiwał mu, bił ukłony i zapewniał gorliwie:

– Dla jaśnie wielmożnego pana mam najlepsze tkaniny. Co wielmożny
pan życzy sobie mieć, ja natychmiast przyślę na św. Anny. Towar u mnie

najlepszy, żadnej skazy.

Czczotka przekładał tkaniny, macał, wodził niezadowolonym spojrzeniem po materiałach, gdy tymczasem kupiec z bojaźnią spoglądał na niego, zaciskał spierzchnięte od mrozu usta i przygryzał wargi, z trudem kryjąc zdenerwowanie. Pojawienie się burmistrza zawsze budziło lęk wśród ostatnich kupców, choć obawiali się go i najznaczniejsi, największy zaś popłoch sięł wśród Żydów. Burmistrz miał przy Sukiennicach swoje kramy, gdzie interesu pilnowali jego bracia i ich synowie, ale co dzień osobiście przechadzał się między straganami, jakby badał, jaki towar ma konkurencja i kogo by wygryźć, aby jego interes szedł lepiej.

– Witam wielmożnego pana burmistrza – powiedziała Fiorella, która znalazła się w pobliżu. Lubiała kręcić się między kramami, oglądać towary, zachwalać i wybrzydzać, to wynajdywać wady. Nie na rękę było to tym, co nie znając Włoszki, próbowali sprzedać jej towar gorszej jakości. Kapeluszniczka bez ogródek pokazywała skazy i mówiła, że jest zbyt doświadczona, by dać się oszukać. Wprawnym okiem i szczerością pani Carpaccio zyskiwała u nich szacunek, dlatego kupcy, którzy się z nią zetknęli, nie próbowali jej więcej oszukiwać. Czeczotka zmierzył Włoszkę przenikliwym wzrokiem.

– Już o świcie posłałam moją Małgorzatę do wielmożnej małżonki z kapeluszem. Mam nadzieję, że dobrze leży – powiedziała.

Czczotka zbliżył się do Włoszki i szepnął do niej:

– Wieczorem spodziewam się znacznych gości.

Pani Carpaccio dobrze wiedziała, co znaczą te słowa. Burmistrz uwielbiał towarzystwo ładnych kobiet. Werbował do swej łaźni młode dziewczęta, które sam stręczył znamienitym gościom, pobierając za to stosowną opłatę, o czym wiedzieli wszyscy, łącznie z jego małżonką, na

której śmierć czekał jak na zbawienie. Bez skrupowania adorował najstarszą z córek Montelupiego, o której wiadomo było, że jest na wydaniu. Gdyby ją poślubił, wzeniłby się w rodzinę kupiecką, a jego narzeczona w dniu ślubu wniosłaby wielki posag. Montelupi odpowiadał, że chętnie dałby mu Augustę, gdyby nie to, że Tłokiński jest żonaty. Burmistrz był bowiem najznacznieszą osobą w mieście, o wpływach tak wielkich, że nic nie działo się w Krakowie bez jego wiedzy i zgody. Do tego na wszystkim robił interesy: na łaźni, którą wziął w dzierżawę, na wadze miejskiej, na której zarabiał trzykroć więcej, niż wynosiła suma, za którą ją dzierżawił. Miał również w Krakowie kilkanaście domów, które wziął w posiadanie własnym sprytem, układami albo przemocą. Odnajmował też kwatery za niemałe pieniądze, a sam urządził sobie siedzibę przy św. Anny. Jedno z mieszkań na Sławkowskiej wynajął właśnie pani Carpaccio, która powróciwszy z Warszawy, szukała lokum dla swego niewielkiego warsztatu kapeluszniczego. Cena wydała się Fiorelli bardzo atrakcyjna, więc nie zastanawiała się długo. Ale gdy czynsz zaczął rosnąć, Włoszka znalazła się w kłopotcie. Burmistrz pocieszył ją, że przecież na wszystko znajdzie się sposób, za czynsz może płacić pracą swych dziewcząt. Posyłała je więc do jego łaźni, nie mając pewności, czy wrócą żywe. Zdarzyło się bowiem pewnego lata, że tam właśnie znaleziono martwą młodą kobietę. Sprawa ucichła prędko, a to za sprawą samego Czeczotki, który rodzinie zamordowanej dziewczyny zamknął usta kilkoma talarami. Chodziły słuchy, że Czeczotka zabił dziewczynę w afekcie. Gorszono się więc jego rozpustą i szemrano, lecz nikt głośno nie odważył się mu przeciwstawić. W ten oto sposób pani Carpaccio, tak jak i wielu innych mieszczan, siedziała w garści Czeczotki, i choć w duchu go przeklinała, to zawsze nisko mu się kłaniała.

Fiorella skinęła głową burmistrzowi i oddaliła się, spostrzegła bowiem kapelusz, który wczorajszego wieczoru zaniósła pannie Lucchini. Nie namyślając się wiele, zawołała:

– Signorina Lucia!

Młoda kobieta odwróciła się i pani Carpaccio ujrzała jej piękną twarz. Lucia zmierzała właśnie do kościoła na mszę, jak zwykle z rana, za nią dreptała tęga matrona, o zadartym nosie i małych oczach.

– Z daleka poznałam swoją robotę, signorina – powiedziała Fiorella.

– A tak, signora Carpaccio, masz złote ręce – przyznała dziewczyna, a uśmiech rozjaśnił jej twarz. Na tę pochwałę oczy Fiorelli rozblęły. – Moja matka niebawem złoży ci wizytę, gdyż i ona chce sprawić sobie nowy kapelusz – dodała Lucia.

– Jestem do usług, signorina – powiedziała Fiorella, gdy jej wzrok raptownie skierował się ku Szarej kamienicy, w pobliżu której podniósł się niezwykcyjny tumult. Ludzie biegli w tamtą stronę, wołając z euforią:

– Spalić Mechlerową! Spalić czarownicę!

Lucia spiesznie pożegnała Fiorellę i ruszyła do kościoła Mariackiego. Tymczasem pani Carpaccio ujrzała w oddali, u wylotu ulicy Szczepańskiej, kata powożącego wóz, na którym w drewnianej klatce kolebał się ni to stwór, ni to człowiek. Za wozem szli dwaj hycle, a za nimi biegła rozradowana dzieciarnia i ciskała w uwięzioną istotę kamieniami.

Lepiej ci było skonać na torturach, pomyślała ze współczuciem Włoszka. Cały Kraków, nawet okoliczne miasteczka i wsie mówiły o tym, że Katarzyna Mechlerowa, żona krakowskiego rajcy, wyrzekła się Chrystusa i przyjęła wiarę żydowską. Kiedy zaś prymas chciał nawrócić ją na wiarę chrześcijańską, napluła mu w twarz i na jego oczach zdeptała święty sakrament, po czym powiedziała hardo, że dla swego Boga gotowa jest umrzeć śmiercią męczeńską. W mieście zawrzało. Na Żydów padł

strach, bowiem nawrócenie Mechlerowej na wiarę mojżeszową kosztowało kilku z nich życie. Prymas, chcąc uciąć sprawę, wydał na kobietę wyrok śmierci, czym uczynił zadość pospólstwu.

Wóz zatrzymał się pod szafotem i hycle otworzyli klatkę, po czym siłą wywlekli skrupowaną powrozem kobietę. Fiorella odwróciła głowę, jakby nie chciała być świadkiem okrucieństwa, i poszła dalej. Po drodze kupiła jabłka od wiejskiej baby, a napełniwszy wiklinowy koszyk, skierowała się na Sławkowską. Naraz usłyszała za sobą chrapliwy głos:

– Pani Carpaccio!

Odwróciła się i ujrzała znajomego Żyda – Izraela ben Issera. Przyglądała mu się, kiedy w czarnym chałacie zmierzał w jej stronę. Izrael skończył już sześćdziesiąt lat i do niedawna biła od niego niezwykła witalność, lecz wyraźnie przygasła ona na wieść o śmierci króla Zygmunta Augusta. Od tej chwili Żydzi żyli w niepewności i drżeli o swój los. Niedawno dotarła do Krakowa pogłoska, że nowy król, który niebawem ma zjechać do miasta, nienawidzi innowierców.

– Pamiętasz, signora, że w szabat masz być u mnie? – przypomniał jej Żyd.

– Przyjdę, Izraelu, i zapalę wam świece, jak obiecałam – odparła.

Zwyczaj zabraniał Żydom w szabat, po zachodzie słońca, palić ogień. Hebrajczycy prosili więc o tę przysługę chrześcijan. Fiorella odwróciła się, gdy nagle potrącił ją jakiś żak.

– Uważaj, panie! – zawołała z gniewem, gdy owoce wysypały się z kosza i rozsypały po śniegu.

– Wybacz – powiedział i pochylił się, by zebrać jabłka.

– Aleksandrze!

Wołanie rozległo się za plecami młodzieńca. Odwróciwszy się, zobaczył krępego mężczyznę w średnim wieku.

- Signor Falconi – wydukał zaskoczony i się wyprostował.
- Przyjdź wieczorem – powiedział Włoch.
- Dziś nie mogę. – Młodzieniec był wyraźnie zakłopotany propozycją.
- Obiecałem doktorowi Wernerowi, że zrobię dla niego parę szkiców.
- Jak chcesz. Widać Werner lepiej płaci za szkicowanie trupów – skwitował Falconi.
- To nie tak – próbował się tłumaczyć Aleksander.

Tymczasem pani Carpaccio przyglądała mu się z uwagą. Żak był wysoki i szczupły, krótko ostrzyżone włosy odsłaniały duże uszy i długą szyję. Młodzieniec szybko zapomniał o porozrzucanych jabłkach i prędkim krokiem oddalił się wraz z towarzyszem. Włoszka jeszcze przez chwilę im się przypatrywała. Aleksander, dogadawszy się z Falconim, że odwiedzi go po północy, skierował się do Collegium Maius, gdzie studiował medycynę. Spędził tam cały dzień, po czym, gdy zaczęło zmierzchać, wraz z kilkoma studentami zahaczył o szynk. Na wieży ratuszowej wybijała dziesiąta, gdy wraz z innymi opuścił gospodę przy św. Anny. Ledwo się oddalili, gdy z mroku wyłonili się pachołkowie, którzy jak zwykle o tej porze robili obchód miasta. Ujrzawszy grupę żaków, przystanęli. Gdy żacy ich minęli, jeden z nich, Harasimowicz, rzekł:

- To ścierwo gorsze od ulicznych dziewczek.
- Dobrze by ich zrewidować, może mają przy sobie broń – rzucił drugi z mężczyzn.
- Daj spokój! Nie nasza to rzecz! – uciął tamten.

Strażnicy poszli w swoją stronę, tymczasem Aleksander odłączył się od towarzyszy i zniknął na Szczepańskiej, gdzie w jednej z kamienic, na piętrze, paliło się blade światło. Bez wahania zapukał do drzwi. Otworzył mu Henryk – pomocnik doktora, którego Aleksander dobrze znał. Chłopak zaprowadził żaka na górę i tam uchylił drzwi. W tym momencie uderzył go

trupi odór zmieszany z fekaliami. W głębi pokoju Aleksander ujrzał doktora pochylonego nad zwłokami jakiejś kobiety, obok zaś na małym stoliku leżały zwłoki suki z otwartym korpusem.

– Co to jest, doktorze? – spytał Aleksander, zbliżając się do psa.

– Suka, nie widzisz? – odparł zdziwiony Werner.

– No, to widzę.

– Żywą ją rozkroilem, ale mi zdechła – rzekł zmartwiony i zaraz zwrócił się do Henryka: – Chłopcze, zabierz to ścierwo.

– To obrzydliwe – wymamrotał Aleksander, dostrzegłszy, jak jeszcze świeża krew ścieka z trupa i kapie na posadzkę.

– Ale konieczne – skwitował Werner i sięgnął po butelkę z winem. – Chcesz być medykiem, a czujesz odrazę do trupa. Do tego tu też? – Wskazał na ciało martwej kobiety. Aleksander przyjrzał się jej. Miała poderżnięte gardło, a na szyi jeszcze świeżą krew. Długie, brudne włosy opadały aż do podłogi.

– Jeszcze ciepła – orzekł radośnie medyk i pochyliwszy się nad trupem, przeciął nożem gorset sukni, po czym podążył ostrzem niżej, w kierunku łona, tymczasem Aleksander przyglądał się medykowi. Niesmak ustąpił miejsca dociekliwej fascynacji. Było bowiem w ruchach i spojrzeniu Wernera coś niezwykłego, w oczach miał ekscytację, nerwowo drżały mu ręce, a może to nie ekscytacja, a wino było tego powodem.

– Wydałem na nią wszystkie pieniądze – rzekł i znacząco spojrzał na żaka. – Rozumiesz?

Aleksander ściągnął brwi. Dobrze pojął, że doktor nie zapłaci mu dziś, choć on bardzo na to liczył. Georg, widząc markotną minę żaka, zapewnił spiesznie, jakby bał się, że student mu ucieknie:

– Ale najdalej za dwa dni... Dla mnie długi to sprawa honorowa, wiesz o tym.

Żak skinął głową, wtedy w oczach medyka dostrzegł ulgę. Werner zabrał się do roboty. Zdecydowanym ruchem przeciął skórę i rozplątał korpus aż do łona. Mdła woń uderzyła w nozdrza i Aleksander zwymiotował.

– Masz, napij się – rzekł doktor i postawił przed żakiem butelkę z trunkiem, po czym dodał: – No, to trafiła nam się gratka. Ona była brzemienna. Gdyby kat o tym wiedział, jak znam jego chciwość, podbiłby cenę. Spójrz! Płód jeszcze niewykształcony, ale widać ręce i nogi, na twarzy zarysowane oczy. Ułożony dokładnie tak, jak przedstawił to signor da Vinci... No, zabieraj się do pracy – ponaglił żaka.

Aleksander podszedł do stolika, na którym leżały papier oraz ołówek, i zaczął szkicować.

Mijały minuty i godziny, dopiero po północy żak wyszedł z kamienicy. Mroźne powietrze wypełniło płuca i odurzyło go. Ruszył w kierunku Brackiej, gdzie mieszkał Ricardo Falconi. Spojrzał w okno jego domostwa. Światło świec na parterze paliło się czerwonym płomieniem. Kiedy zapukał, otworzył mu gospodarz.

– Myślałem, że nie przyjdiesz i zrobiłem już kilka szkiców – powiedział Ricardo i wpuścił go do środka. Potem wrócił do stołu, wziął zarysowane kartki i pokazał je przyjacielowi.

– Niektóre są naprawdę dobre – powiedział po chwili Aleksander.

– Nie... Ten na przykład jest do niczego – odparł Falconi, wskazując na jeden ze szkiców.

Zaraz Ricardo wbił spojrzenie w towarzysza, a widząc jego bladą, prawie przeźroczystą twarz, spytał:

– Co się z tobą dzieje? Nie wyglądasz dobrze. Może napijesz się wina?

Żak skinął głową, na co Falconi natychmiast wypadł do sieni i zawołał:

– Małgorzato! Przynieś nam wina!

Na to imię serce studenta załomotało.

– Masz służącą? – spytał Aleksander.

– Nie, ona mi pozuje, a że nie jest drobiazgowa, to czasem mi służy.

Aleksander zacisnął usta. Wiedział, że Falconi nieraz korzysta z usług nierządnic. Teraz poczuł rozpierające go gorąco i oblał go pot, oto za chwilę w drzwiach stanie jego Małgorzata. Żak chrząknął nerwowo, gdy do pokoju weszła stara kobieta w ciemnej sukni i postawiła wino na stole.

– Ricardo... – odezwał się Aleksander, wodząc spojrzeniem za kobietą.

– Mówiłeś, że nie masz służącej.

– Mówisz o niej? – odparł Falconi i nalawszy wino do kielichów, zwrócił się do kobiety:

– Możemy zaczynać, Małgorzato!

Aleksander zdał się oszołomiony swoją pomyłką.

Wziął kielich z winem, pił tak łapczywie, aż się zachłysnął. Tymczasem kobieta usiadła na krześle, na tle ściany spowitej półmrokiem. Jedna świeca oświeślała prawy profil jej twarzy.

Ricardo zbliżył się do niej. Poprawił suknię u jej stóp, a z upiętej fryzury wyciągnął kilka siwych kosmyków. Potem podszedł do szuflady i wyciągnął sznur białych sztucznych pereł. Otulił nimi szyję kobiety, po czym ułożył naszyjnik na czarnym dekolcie jej sukni.

– Zawsze szkicowałeś młode kobiety – zauważył Aleksander.

– Mówisz o ładacznicach?

– Tak.

– A ta, myślisz, kim była? Wiesz, dlaczego jeszcze żyje? – spytał, a kiedy żak milczał, dodał: – Bo nie zabił jej syfilis ani głód.

Aleksander z ochotą zabrał się za szkicowanie. Wreszcie robił to, co lubił. Rysował nie trupy, a żywych ludzi. Przyglądał się teraz starej

prostytutce. Z gęstej siatki zmarszczek spoglądały kryształowe źrenice. Siedząc tak nieruchomo, z majestatycznie uniesioną głową, wyglądała jak nobliwa matrona, która odchowala dzieci i wnuki, a teraz, obleczona w czerń, ze spokojem czeka na śmierć.

Aleksander niebawem opuścił mieszkanie znajomego i skierował się na Wiślną, gdzie wynajmował kwaterę wspólnie z innym studentem, Gabrielem. Wkrótce stanął pod domem i zakolał do drzwi. Józef, właściciel kamienicy, ujrawszy żaka o tak późnej porze, ostrzegł go, że następnym razem nie wpuści go do środka, na co ten odparł, że miał pilne sprawy na mieście.

– Ja znam te wasze sprawy – rzekł mężczyzna. – Ladacznice i pijaństwo do rana.

Aleksander nie słuchał już lamentu starca, tylko po skrzypiących schodach wbiegł na górę. Kiedy wszedł do izby, uderzył go panujący tu chłód. Zdecydował, że w ubraniu położy się spać. Mimo to drżał z zimna i przewracał się z boku na bok, kiedy usłyszał, jak drzwi cicho skrzypnęły. Ktoś wszedł do środka, podszedł do stołu, po chwili błysnęło światło świecy.

To był Gabriel. Dostrzegłszy, że współlokator nie śpi, rzekł ze złością:

– Stary opój znowu na nas oszczędza.

Gabriel, spędziwszy kilka godzin na mrozie, nieźle zmarzł i dlatego rad był ogrzać się przy piecu, ale nic z tego. W końcu mocniej naciągnął płaszcz i spytał:

– Dawno wróciłeś?

– Chyba dawno – odburknął.

– Co cię ugryzło? – spytał Gabriel.

– Nic, a ty? Włóczyłeś się całą noc, a jesteś trzeźwy – odgryzł się, mając w pamięci noce, kiedy jego kompan wracał do kwatery pijany i

potykał się o krzesła.

– Dziś miałem ważniejsze sprawy – odparł i zaraz zmienił temat. – Byłeś u Wenera?

– Tak.

– Zapłacił ci?

– Nie.

– Szubrawiec – burknął Gabriel. – Po co do niego chodzisz, skoro ci nie płaci? Niedługo wyrzucą nas z kwatery, ale ja nie zamierzam mieszkać w bursie dla ubogich studentów.

– Nie? – Aleksander udał zdziwienie i przyjrzał się uważnie Gabrielowi. Brązowe źrenice kryły w sobie jakiś przewrotny blask. Gabriel pochodził z ubogiej rodziny i tylko dzięki ofiarności znajomego proboszcza, który docenił jego bystry umysł i zachłanność wiedzy, mógł studiować medycynę.

– A więc wymyśl coś! – zaproponował Aleksander.

Gabriel rzucił się na łóżko. Leżeli tak obaj w milczeniu, przy palącej się delikatnym płomieniem świecy.

– Nie zniosę tego dłużej. – Aleksander pierwszy przerwał milczenie.

– Czego?

– Trupów, ich zapachu. Rzygam nim! – rzekł ze wstrętem.

– Trzeba było kształcić się na księdza – poradził mu Gabriel. – Wiódlbyś teraz życie całkiem dostatnie i przyjemne... A wiesz – Gabriel poruszył się, nagle ożywiony – widziałem tę twoją uroczą dziewczkę, Małgorzatę, wracała od Czeczotki.

Aleksander nie odpowiedział, tylko zacisnął zęby.

– Gdybyś odebrał zapłatę od Wenera, starczyłoby na chleb, piwo i na tę dziewczynę – wypomnił mu.

– Lepiej zajmij się Miriam! – uciął Aleksander. – Słyszałem, że wychodzi za mąż.

– To skończone! Rozumiesz? Ona jest Żydówką! – Gabriel wybuchnął. Aleksander, widząc, że poruszył w przyjacielu czułą strunę, rzucił się do kufra i otworzywszy jego wieko, czegoś tam szukał.

– Zaraz, zaraz... Gdzieś miałem jej szkic? Pamiętasz? Zrobiłem go dla ciebie. Był tutaj, w książce... Gdzie ona jest? – Zaczął nerwowo przerzucać rzeczy, a nie znalazłszy tego, czego szukał, wbił spojrzenie w towarzysza i rzekł: – Brakuje kilku książek, jeszcze wczoraj tu były. Pamiętam dobrze... – Po czym trzasnął wiekiem kufra, wyprostował się i spytał:

– Wziąłeś je...? Sprzedałeś...? Sprzedałeś moje książki?

– Musiałem – wykrztusił tamten. – Potrzebowałem ich.

– Potrzebowałeś na wino czy na dziwki? – wykrzyknął ze złością i chwycił go za płaszcz.

Zaczęli się szarpać, nagle coś z hukiem upadło na podłogę.

Wzrok Aleksandra spoczął na sztylcie, żak pochylił się i podniósł go. Na ostrzu była jeszcze świeża krew. To dało mu do myślenia. Wbił oczy w Gabriela i spytał z obawą:

– Zabiliście człowieka?

– Człowieka? – odparł Gabriel i uśmiechnąwszy się, wyjaśnił: – Nie. Tylko dwóch Żydów.

Zapadło milczenie. Gabriel skierował się do wyjścia, lecz przy drzwiach jeszcze się zatrzymał i powiedział:

– Twoje książki są na Żydowskiej, u Izaaka, gdybyś chciał je odzyskać...

Aleksander zacisnął dłonie w pięści. W tym momencie pojawił się hipokryzję swego przyjaciela. Gabriel nienawidzi Żydów, lecz to mu nie przeszkadza, by robić z nimi interesy.

ROZDZIAŁ 2

JĄŁMUŻNA ŻYDOWSKIEGO KUPCA

Mrok rzednął, gdy Aleksander obudził się z ciężką głową. Rozejrzał się z myślą, że Gabriel wrócił nocą i tak cicho położył się spać, że go nie usłyszał, ale jego łóżko było puste. Dźwięki trąby oznajmiające otwarcie bram miejskich postawiły go na nogi. Ubrał się i opuścił kamienicę. Wkrótce znalazł się na Rynku, po drodze mijał domy niespiesznie budzące się ze snu. Niebawem znalazł się na moście Królewskim. Minął skutą lodem Rudawkę, dalej spokojnym nurtem płynącą Wisłę, po czym przekroczywszy Bramę Glinianą, znalazł się w Kazimierzu, w części miasta zamieszkaną przez chrześcijan. Stąd podążył ku żydowskiej dzielnicy. Minawszy kilka uliczek, już był na ulicy Wielkiej, która na dobre się przebudziła. Kupcy otwierali sklepy, a rzemieślnicy warsztaty. Ulica wypełniała się z każdą chwilą, przesiąkała duszącym dymem idącym z pieców, pomyjami wylewanymi przez okna kamienic wprost pod nogi przechodniów, smrodem ryb, rozbrzmiewała gwarem żydowskiej dzieciarni i nawoływaniem żebraków oczekujących już od świtu przy synagogach, w nadziei na jałmużnę z rąk współbraci spieszących do świątyni. Żak skierował się ku Starej Bożnicy, w pobliżu której znajdowała się kamienica Izraela ben Issera, jednego z najbogatszych Żydów w mieście.

Izrael zbił fortunę na handlu tkaninami, które sprowadzał ze Śląska, Wiednia, a nawet z dalekiej Wenecji, do tego ściągął z Moskwy skóry gronostajów i niedźwiedzi, tak poszukiwane w Polsce. Stał się więc Izrael pierwszym dostawcą, który zaopatrywał w owe towary nie tylko magnatów, ale i dwór królewski. Zmysł kupiecki pozwolił na szybkie pomnażanie majątku, a do tego dobre kontakty z królem Zygmuntem Augustem, którego dawniej był bankierem, powodowały uznanie u współwyznawców. Dzięki owym wielkim wpływom wybrano go zarządu gminy, sadzając na urzędzie jednego ze starszych mężów. Aleksander zakołatał do żydowskiego domu. Otworzyła mu Haja, starsza córka Izraela, i zaprosiła go do środka. Kiedy wiodła go do przestronnej sieni, żak zauważył, że jest brzemienna. Haja pozostawiła gościa w sieni, a sama weszła do pokoju. Tymczasem w oddali, na schodach, przed oczami Aleksandra mignęła postać pięknej dziewczyny. Była to Miriam, młodsza córka gospodarza. Student dostrzegł, że była ubrana w suknię w kolorze granatu, a jej głowę zdobiła biała koronkowa chusta. Miriam, zaspokoiwszy ciekawość, zniknęła mu z oczu, gdy naraz szelest chałatu rozproszył ciszę.

– Witam drogiego scholara, co słyhać u ciebie dobrego? – rozległ się głos gospodarza.

Aleksander milczał, ostatnie wydarzenia niestety niczego dobrego mu nie przyniosły.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ 1. KRAKOWSKA KAPELUSZNICZKA

ROZDZIAŁ 2. JAŁMUŻNA ŻYDOWSKIEGO KUPCA